№ 46. Warszawa, 18 Listopada 1910 roku. Rok III.

SPOŁECZEŃSTWO

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY, NAUKOWY i LITERACKI.

PRENUMERATA w Warszawie: z odnoszeniem do domu rocznie rb. 7 k. 60, Kwartalnie rb. 1 k. 90, Miesięcznie k. 65. Numer pojedyńczy — kop. 15. **Z przesyłką pocztową:** Rocznie rb. 9, Kwart. rb. 2 k. 25. Za zmianę adresu k. 20.

„SPOŁECZEŃSTWO" wychodzi co piątek.

Adres Red. i Administracji Wielka 1-a m. 1. Tel. 97-83.

OGŁOSZENIA po kop. 15 za wiersz petitu. REKLAMY p tekście kop. 30 za wiersz petitu. NADESŁANE na 1 stronicy przed tekstem po kop. 50 za wiersz.

Administracja otwarta od 10—2 i od 4—7, prócz świąt. W interesach redakcyjnych porozumiewać się można codziennie od g. 3 — 5 po południu. Drobnych rękopisów nie zwraca się.

TREŚĆ NUMERU:

WINOWAJCY.

„To szkodnicy wszechpolscy są dzielni".

Nie do nas należy wychowawcza strona rozgłośnej dziś sprawy żulińskiej, powstałej na tle śmierci ucznia rzekomo wskutek pobicia go przez nauczyciela. Jest rzeczą zawodowych wychowawców wykazać, czy panujący w Galicji system szkolny, który wkłada w ręce nauczyciela prawo stosowania do uczniów kar cielesnych, nie domaga się gwałtownej naprawy, czy nie trzebaby raczej w tym względzie powrócić do jakoby tak drogich narodowcom tradycji Komisji Edukacyjnej.

Tu obchodzi nas jedynie polityczna strona całego zajścia, które w chwili zgóry już przegranej walki na boisku dumskiem o szkołę polską w Królestwie obdarzyło najzaciętszych jej wrogów takim orężem, który zadawanemu *coup de grâce* odejmuje właściwe piętno przemocy, nadając przeciwnie pozory obrony i zwycięstwa sprawiedliwości.

Wobec oświadczenia austrjackiego biura korespondencyjnego, tj. źródła wysoko urzędowego, nie ulega już dziś wątpliwości, że przedwczesna śmierć młodego ukraińca, uczęszczającego do szkoły w Żulinie, ***nie*** nastąpiła wskutek pobicia przez nauczyciela-polaka, cały zaś wypadek rozdęty został do rozmiarów „nowej Wrześni" przez czystych i nowosłowiańskich nacjonalistów rosyjskich dla własnych ich celów. Nie mniej jednak pozostają do ustalenia przyczyny, które pozwoliły reakcji rosyjskiej na stworzenie politycznego szantażu i na usiłowanie zniesławienia całego społeczeństwa polskiego.

Sprawa żulińska jest tylko pewnym z epizodów walki na śmierć i życie, toczonej przez zagryzające się nawzajem różnonarodowościowe burżuazje monarchji habsburskiej. W świetle tej walki wypadek z Kochańczukiem sprowadza się w najprostszych zarysach do sporu między nacjonalistami ukraińskiemi a polskiemi o obsadzanie posad, będących jednocześnie łupem i środkiem walk narodowościowych.

Tylko przez pobudki polityczne, dalekie od wszelkich względów wychowawczych, może być wytłumaczony fakt, że do wsi, gdzie 90% stanowią rusini, mianowano nauczyciela - polaka. Kimkolwiek był ten ostatni, nie był to w każdym razie *the right man in the right place*,—właściwy człowiek na właściwem miejscu. Przysłanie polaka do wsi prawie czysto ruskiej o wybitnie ukraińskiem zabarwieniu politycznem musiało być i zostało pojęte jako akt polityki polskiej, przemocy polskiej, przeciw której tak poważna w Żulinie większość ukraińska z konieczności i nie bez słuszności podniosła protest. Że protest ten przybrał postać dzikiej, z niczem nie liczącej się walki przeciw nauczycielowi-polakowi, walki, dochodzącej do tak barbarzyńskich przejawów, jak niszczenie grobu dziecka znienawidzonego kierownika szkoły, musi to być już położone na karb tego zezwierzęcenia, które jest stałym towarzyszem i klątwą wszelkiej polityki szowinistycznej, wszelkich sporów nacjonalistycznych.

Przy bezwzględnem potępieniu sposobów, jakich dla usunięcia ze wsi nauczyciela-polaka imali się nielepsi od nacjonalistów polskich ukraińcy żulińscy, niezbitym pozostaje faktem, że za hańbę, którą obłudnie usiłowano zgotować całemu narodowi naszemu, odpo-

wiedzialni są całkowicie menerzy polskiej polityki nacjonalistycznej w Galicji—narodowi demokraci.

Ich to „zdrowe" hasło „ekspansji narodowej", ich gwoli temu hasłu wywierane wpływy prowadzą do niedającego się obronić faktu, że urzędy i stanowiska w okolicach o zwartej większości ruskiej są jeszcze zajmowane przez polaków.

To nieposzanowanie najpierwszych zasad praw narodowościowych przez wszechpolaków galicyjskich jest oczywiście zagadnieniem bytu dla ich stronnictwa. Jako oparte w lwiej części na inteligencji zawodowej i niższej biurokracji, musi ono mieć do rozporządzenia swych członków jaknajwiększą ilość posad.

Ale to, co jest pożyteczne ze stanowiska partyjnego, zgubnem się staje we względzie ogólno-narodowym, który rzekomo ma być osią polityki wszechpolaków wszystkich zaborów.

Fakty zbyt są znane, aby warto było przypominać te wszystkie ataki, jakie skierowywano już tylekrotnie i z tylu różnych stron przeciw narodowi polskiemu,—dzięki „ekspansji" wszechpolaków galicyjskich, dzięki ich ciasno nacjonalistycznej polityce wobec ukraińców.

Sprawa żulińska została coprawda wyjaśniona przez osobę trzecią, niepodejrzaną co do swej bezstronności, nie mniej jednak przyczyna zajścia pozostała, a przez to trwa dalej możność czynienia przez ukraińców zarzutów przeciw polityce „polskiej", której nie potrafiłoby obronić nawet nowe jakieś orędzie do Europy „samego" Sienkiewicza.

Naiwnością polityczną jest nadzieja, wyrażana przez część prasy tutejszej, że widok trudności, które galicyjski nacjonalizm polski stwarza dla sprawy polskiej w państwie rosyjskiem, zmusi wreszcie narodowych demokratów z zaboru austrjackiego do zmiany taktyki. Walka narodowościowa jest jedyną treścią, jedyną podstawą bytu demokracji narodowej, i szkodnictwo wszechpolskie krzewić się będzie na niekorzyść narodu polskiego dopóty, dopóki nasze stronnictwo nacjonalistyczne *sans phrase* nie zostanie z widowni politycznej zmiecione.

W. Wr—ski.

Konferencja w sprawie braku pracy.

(Dokończenie).

B. Pośrednictwo w dostarczaniu pracy.

Od ostatniego kongresu w Medjolanie, to jest od lat 4, kwestja pośrednictwa w dostarczaniu pracy znacznie postąpiła. Badania, wywiady, projekty praw, doświadczenie życiowe wreszcie zmierzają do urzeczywistnienia postawionego w 1906 r. wniosku, a mianowicie, że dostarczaniem pracy winny się zajmować nie instytucje prywatne, ale biura bezpłatne pozostające pod ścisłą kontrolą rządu i złączone nietylko w krajowe ale i międzynarodowe związki.

Referaty delegatów z 16-tu krajów stwierdzają, że wszędzie czynione są usiłowania w kierunku racjonalnej organizacji pośrednictwa; pierwsze pod tym względem miejsce zdobyła Anglja, zakładając państwowe giełdy pracy, które po kilkomiesięcznem zaledwie istnieniu doszły do tego, że w czerwcu i lipcu r. b. dostarczyły pracy 10,000 pracowników.

Zarówno forma jak i rozwój pośrednictwa są różne stosownie do warunków ekonomicznych danego kraju, a prócz tego jeszcze w rozmaitych zawodach, zachodzą zwyczajnie różnice w sposobach poszukiwania pracy. Niedość przeto wydać prawo, aby wprowadzić zmianę w stosunkach społecznych i tak np. we Francji mamy niezmiernie ciekawy przykład. W r. 1904 na skutek burzliwych manifestacji wydane zostało prawo orzekające:

1) Miasta mogą znieść płatne biura pośrednictwa, wypłacając ich właścicielom pewną sumę tytułem odszkodowania.

2) Każde stowarzyszenie ma prawo założyć bezpłatne biuro stręczenia pracy.

3) W gminach poniżej 10,000 mieszk. merostwa powinny utrzymywać spis poszukujących i ofiarujących pracę; zaś w gminach powyżej 10,000 mieszk. ma być założone wiejskie bezpłatne biuro pośrednictwa.

Otóż wyniki tego prawa są dziś następujące: Z ogólnej liczby 1400 biur prywatnych, zniesiono zaledwie 60 w Paryżu i 4 w Auxerre, prawie wszystkie jednak wypłynęły po pewnym czasie znowu na widownię pod formą stowarzyszeń (§ 2), których członkowie, rzecz prosta, płacą składki dość wysokie, ale pośrednictwo w pracy załatwia się bezpłatnie. Z pomiędzy zaś 258 miast liczących wyżej 10,000 mieszk. zaledwie 107 zastosowało się do prawa, zakładając biura miejskie, te jednak wegetują słabo, bo biura płatne cieszą się dotychczas większem zaufaniem. Najwięcej zaś rozwinęły się we Francji w ciągu lat ostatnich biura utrzymywane przez związki pracodawców, zwłaszcza piekarze, rzeźnicy, restauratorzy, handle win, fryzjerzy, kupcy towarów kolonjalnych—dążą do zmonopolizowania w swych rękach pośrednictwa. I w tem właśnie uwidocznia się doskonale wrogi stosunek klasowy, biura te bowiem powstają jedynie w tym celu, aby pracobiorcy mogli wzajemnie komunikować sobie nazwiska t. zw. fortes têtes i wogóle robotników podejrzanych o należenie... do związku zawodowego. Skoro ktoś się dostanie na „czarną listę" może być pewny, że pracy u nikogo z członków owego zjednoczenia nie otrzyma.

Reasumując referaty, odnoszące się do kwestji Pośrednictwa Pracy, zauważyć można dążenia i życzenia wspólne następujące:

Biura pośrednictwa zakładane być winny przez państwo lub gminy; dla zapewnienia neutralności i bezstronności zarząd ich winien się składać w połowie z pracobiorców i pracujących; ulegać one powinny inspekcji ścisłej i perjodycznej; pożądanem jest, aby biura pośrednictwa pozostawały w ścisłym związku z kasami ubezpieczeń od braku pracy, jak to już zapoczątkowano w Danji; organizacja techniczna wszystkich biur powinna być o ile możności jednakowa; pomiędzy biurami pośrednictwa powinna być ścisła koordynacja, umożliwiająca przy pomocy poczty, telegrafów i telefonów wymianę listy wakujących miejsc,ześrodkowanie tychże w biurach okręgowych dla statystyki i sprawozdań miesięcznych, wreszcie przesyłanie ich do biura centralnego, które układa statystykę ogólną i redaguje perjodyczne biuletyny o stanie rynku pracy.

Jakaby nie była organizacja biura—państwowa czy gminna, związku pracodawców czy robotników—winno ono się rządzić tak jak zakład handlowy,—jak to powiedział minister pracy we Francji w jednym ze swych okólników, a zgodnie z koncepcją angielską uważanem być winno za część składową mechanizmu przemysłowego.

Kwestją sporną pozostaje jeszcze bezpłatność biur pośrednictwa, jedni uważają że jest ona nieodzownym warunkiem, inni zaś twierdzą, że zarówno pracobiorcy jak i pracujący winni opłacać pewną kwotę.

Wreszcie nierozstrzygniętą pozostaje kwestja, jak mają się zachować biura pośrednictwa pracy w chwi-

lach zatargów pomiędzy pracą i kapitałem, — podczas strejków, lokautów, bojkotów; dr. Schiavi z Medjolanu, prezes „Societa Umanitaria", proponuje, aby w tych wypadkach biura zawieszały pośrednictwo.

C. Ubezpieczenie od braku pracy i kontrola nad bezrobotnemi.

Jeśli pośrednictwo w dostarczaniu pracy daje się do pewnego stopnia zorganizować przy obecnym ustroju społecznym, to już sprawę ubezpieczenia od braku pracy można uważać za mniej lub więcej świadome bałamuctwo. Pomijając już zagadnienie finansowe, jakim sposobem powstaną kasy dostatecznie zasobne w kapitał, aby w istocie zadosyć uczynić potrzebom wzrastającej wszędzie armji bezrobotnych, istnieją jeszcze inne całkiem specjalne trudności urzeczywistnienia owego panaceum. Jeśli bowiem możebne jest określić z góry z pewną dokładnością wszelkie inne wypadki podlegające ubezpieczeniu, to przymusowe bezrobocie nie podlega żadnemu ogólnemu i absolutnemu kryterjum. Każdy określa inaczej, kiedy robotnik przedstawia należyte warunki do otrzymania odszkodowania i jak sprawdzić, że nie mógł istotnie znaleźć odpowiedniej pracy. Kwestja przeto ubezpieczenia wiąże się ściśle z kwestją kontroli, która wymagać będzie całego personelu niejako policji wywiadowczej.

Tak np. dr. Most, dyrektor biura statystycznego w Düsseldorfie wysławia środki kontroli stosowane w Niemczech, a mianowicie: Związki zawodowe prowadzą spis bezrobotnych z potrzebnemi objaśnieniami, dane te jednak podlegają kontroli przy pomocy wywiadu u członków Związku, jakoteż u pracobiorców Kontrolę zaś nad długością okresu bezrobotnego prowadzi biuro miejskie pośrednictwa pracy, w którem robotnik stawić się musi codzień, a nieraz i dwa lub trzy razy dziennie o naznaczonej godzinie. Dr. Most zaznacza jednak, że środki te okazały się niedostateczne w kwestji, czy robotnik porzucił pracę dobrowolnie lub nie, oraz, czy odmówił gdy mu proponowano pracę mniej korzystną lub po za miastem.

W Belgji—jak twierdzą de Bruyne i de Clerk — jeśli robotnik odmawia „bez słusznego powodu" przyjęcia ofiarowanej mu pracy, to kasa ubezpieczenia cofa mu wyznaczone odszkodowanie, uważają przeto, że jest to doskonały sposób kontroli odnośnie chęci do pracy. Poza tem robotnik zmuszony jest również stawić się codziennie w biurze pośrednictwa o wyznaczonej dlań godzinie. W Gandawie kontrolerzy udają się do mieszkania bezrobotnego i indagują go, następnie wywiadują się u sąsiadów i sprawdzają informacje dostarczone przez związki zawodowe. W innych miejscowościach od robotnika wymagane jest świadectwo pracobiorcy stwierdzające warunki, w jakich utracił pracę.

W Danji, jak twierdzi dr. Soerenson, kwestja ubezpieczenia i kontroli bezrobotnych jest przedmiotem badań specjalnej komisji, która doszła do wniosku, że najskuteczniejszą kontrolę prowadzić mogą odpowiednio zorganizowane biura pośrednictwa.

Słowem kasy bezrobotne zaledwie gdzieniegdzie wegetują, robotnicy zwracają się do nich tylko w ostateczności, a tymczasem burżuazyjni ekonomiści łamią sobie głowę na tem, jakiemi środkami zabezpieczyć się przeciw niesłusznemu pobraniu zapomogi przez robotnika, jakiemi obstawić go zasadzkami, aby uniemożliwić zatajenie prawdziwego stanu rzeczy, jak zmusić do ubezpieczenia się na wypadek braku pracy i t. p.

Na zakończenie trzydniowych obrad odczytano projekt nowego stowarzyszenia mającego na celu. zwalczanie braku pracy „Association internationale pour la lutte contre le chômage." Zadaniem jego będzie zwoływać międzynarodowe zjazdy, przeprowadzać różne wywiady, wydawać dzieła odnoszące się do braku pracy, opracowywać odnośną statystykę, wreszcie czynić starania u władz, aby w pewnych chwilach zapobiegły brakowi pracy przez wytwarzanie nowych źródeł zarobku, nowych prac publicznych. W skład pierwszego komitetu weszło 40-tu przedstawicieli rozmaitych narodowości: Francję reprezentują Leon Bourgeois, minister Millerand, dyrektor pracy A. Foutaine, profesor Collège de France Juster i sekretarz konferencji M. Lazard, autor cennego dzieła o braku pracy.

Iza Zielińska.

Zygmunt Kisielewski.

ŚWITY.

10)

— Towarzysz mówi więcej — odezwał się cicho, spokojnie młody człowiek, skromnie ubrany— bo sobie podpił i dusza go boli. Towarzysz Bartkiewicz dobrze gada. Inteligenci myślą, że program i partja to najważniejsze. To jest bardzo ważna rzecz, nie przeciwię się, ale teraz trzeba innych programów. Chodzicie po fabrykach, tam się od roku gotuje, jak flaki w kotle, a wiecie, co ich burzy: kiedy będzie trza puścić w ruch katarynkę? Masa programów nie rozumie. Słuchają, bo słuchają, gdy przychodzi mówca, bo czasem chwyci i za serce, a potem się po całych dniach przemawiają i młodzi i starzy. Cóż nam opowiadają o befsztykach na maśle, kiedy nam w brzuchu basuje, bo niema na kartofle. Broszurą brzucha nie zapchasz, ani mówieniem złodzieja dyrektora nie wypędzisz. A bieda jest i życie psie, gdzie zajrzeć.

— Dalibyście spokój tym bajdurom, Łubieński— wpadł z gniewem pan przyzwoicie, ale z afektacją ubrany. Znam ja te wasze ględzenia na pamięć. Ja też robotnik, chociaż teraz nie siedzę w fabryce i nie mogę pokazywać zasmolonych łap. Ale to jest ręka robociarza. Znam to, wiem. Przyjdzie się, człowiek mówi, serceby wygadał, żeby tylko pojęli, w czem sens, a tu za plecami ten się krzywi, tamten mędrkuje: nie tego chcemy, dosyć mamy inteligentów. Gadajże sam, sprobójno, a nie gryź, nie mlej ozorem po kątach.

— Nie o to mi szło—opowiedział Łubieński.

— Jak to, a o co? Inoście to ładnie, pięknie zawinęli, pomatlali.

Sarnecki nie mięszał się do rozmowy. Pił. Czasami szukał oczami Reginy, którą gorliwie zaopiekował się Zgliński. Gdy dysputa zaczęła przyjmować charakter ostry, Sarnecki usunął się. Ciężyła mu głowa. Odwykł od ludzi i dyskusji, drażnił go krzyk i brutalne wymyślania. Rodziło się w nim uczucie niesmaku. Skądś, jakby z pól dalekich, nieznanych jawiła się bolesna, żrąca tęsknota. Sarnecki starał się zapomnieć, ogłuszyć

Podszedł do innej grupy, której przewodniczył Reszyński, mały człowieczek o pięknych, nerwowych

Kąpiel błotna.

(Dokończenie).

Zarzuca się tym warstwom brak patrjotyzmu; lecz—z ręką na sercu — w jakimże to czynie wyraził się patrjotyzm małomieszczaństwa rdzennie polskiego? Czy w barwnym, lecz nie grożącym żadnem niebezpieczeństwem, pochodzie narodowym? czy w polityce jego przedstawicieli, t. j. Koła polskiego, a może w komedji neosłowiańskiej?... Gdzież — poza frazesem jest patrjotyzm tak potężny, by miał prawo zarzucać brak jego innym? Zresztą, mieszczaństwo jest w całej Europie klasą najmniej patrjotyczną w rzeczywistem znaczeniu tego słowa. Wyżej pod tym względem stoi częstokroć arystokracja, *) związana z historją danego kraju tradycją, rodowodem, odwiecznym poczuciem honoru, nakoniec strachem przed utratą przywilejów. Nie przeszkadza to, by mieszczaństwo wszędzie było najnacjonalistyczniej usposobionem; nacjonalizm — to patrjotyzm frazesu, nie czynu; a na frazes najłatwiej zdobywa się mieszczaństwo. Mieszczaństwo żydowskie nie stanowi pod tym względem wyjątku Chociaż i tu rozłam staje się coraz widoczniejszy. Mieszczaństwo żydowskie cywilizuje się, uspołecznia *nawet na gazetach żargonowych*, (to nie paradoks!) i coraz bardziej zaczyna się skłaniać w lepszych swych sferach ku asymilacji. Mimowoli nasuwa się tu przypomnienie szeregu artykułów p. Dmowskiego, **) w kwestji żydowskiej, w których narzeka na płytkość współczesnej asymilacji. Nie zgadzając się nawet na przesłanki historyczne i ekonomiczne, przyznać należy p. Dmowskiemu zupełną słuszność w zadokumentowaniu zjawiska, że asymilacja dzisiejsza jest powierzchowniejszą, niż w 7 lat dziesiątku ubiegłego wieku. Przyczyny tego starał się dość trafnie na materjalistycznem podłożu wskazać p. Grosser. ***) Lecz prócz przyczyn materjalistycznych grają tu rolę i prawa społecznego rozwoju, według których ruch każdy, najpotężniejszy nawet w zaczęciu swem, przy dalszym rozwoju i zetknięciu z masami zostaje zastosowany do celów życiowych, na skutek czego staje się coraz szerszym i płytszym.

Mieszczaństwo francuskie było w 18 wieku promotorem wielkiej rewolucji, wysunąwszy hasła „wolności, równości, braterstwa"; czem stało się ono w przeciągu wieku panowania swego—czyż nie ostoją „republikańskiego" wstecznictwa, obrońcą kapitalistycznego ustroju, rozsadnikiem zepsucia i wyzysku? Jest to jaskrawy przykład, jak dalece w zetknięciu z życiem i rozwojem historycznym paczą się i płycieją szczytne hasła. Potężny, wspaniały nurt rzeki idealistycznej zostaje ujęty w granitowe koryto praktycznego zastosowania i zmyty do obracania młynów powszedniości i motorów nawet reakcji społecznej.

Wiadomo, że dla wytworzenia ruchu społecznego potrzeba dwuch warunków: odpowiedniej chwili i odpowiednich ludzi. Przeważnie chwila stwarza ludzi, to jest przeistacza przeciętnych w wybitnych. W burzy lat 60-tych i później z przyjemnem zdziwieniem zauważono, że w żydach przybywa społeczeństwu pomoc poważna; to też pionierów asymilacji otoczono sympatją niezwykłą; sami zaś żydzi-asymilanci przejęci byli ważnością swych celów i wielkością swych zadań. Część przyjęła chrzest, część zerwała zupełnie ze sferą, z której wyszła, część tylko drobna zachowała z nią pewną łączność.

Następne pokolenia dwuch pierwszych kategorji odsunęły się jeszcze dalej; myślą, czują tylko po polsku; kochają, co polskie, nienawidzą, co wrogie interesom kraju. Tych właśnie p. Niemojewski przyjąć do społeczeństwa raczy.

Z biegiem czasu idea asymilacji stała się jednym z postulatów lepszej przyszłości narodu; przyjęto ją jako nieodzowną potrzebę i propagowano, o ile było można. Spowszednała zatem. Tymczasem rozwinął się przemysł, wraz z nim handel—wytworzyła się konkurencja ekonomiczna, tem silniejsza, że i część szlachty przerzuciła się do miast, imając się miarki i wagi. Szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie wciągał

*) Naturalnie, nie u nas.
**) „Głos Warszawski" Nr. 316—319 roku 1909.
***) „Wiedza" Nr. Nr. 8 i 9 roku 1910.

---

rysach twarzy. Właśnie wykładał coś z zapałem, uplastyczniając swe słowa kanciastemi ruchami długich, białych, delikatnych rąk. Reszyński mówiąc wbijał oczy w pewien określony punkt. Teraz obrał sobie za oparcie Sarneckiego.

— Jeszcze jeden. Idzie jak lunatyk, patrzajcie, to warto widzieć—mówił Reszyński, wymachując ręką, jakby nią miał zamiar kogoś postrzelić.—To warto widzieć—Reszyński jestem, a pana znam, mam przyjemność. A oto jest Śmigielski, słusznie tak zwany z racji, że ze śmigłością ma bardzo niewiele wspólnego. To jest Szeremeta, gospodarz a zarazem krzewiciel kultury. Obywatelka Szczęśnicka.— Ale pan zna, jak widzę, no to dobrze. Wygląda mi pan coś na ostatniego z rodziny pod białym pawiem, czy od Michalika.

— Myśli pan o Krakowie.

— A tak, właśnie, myślę o Krakowie. Jabym, panie, kazał powywieszać tę bandę długowłosą. I co to tam dłubie w knajpskach? Siedzi to takie wychudłe, blade, kudły to temu zasłaniają brudny kołnierzyk i mierzy dostojnem spojrzeniem mydlarzy. Mydlarze! To mi się podoba, kiedy mydlki gadają o mydlarzach, to jest dobre—Przybyszewskiemu wolno było, no ale to był pan Stanisław Przybyszewski! A ci wrzeszczą, ci wrzeszczą, ci wrzeszczą, także okazy, nasze swoiste okazy—błysnął okiem w stronę dyskutujących. Podobają mi się niezmiernie ci polscy nadludzie, którzy Nietzschego nawet nie powąchali. Trzebaby kudły obrzezać i zabrać się do roboty — albo też orzec: Nietzsche jest burżuj. Innego wyjścia niema, niema, to trudno.

— Pan tak ceni Nietzschego?— zapytał Sarnecki.

— Tak, panie, ja Nietzschego cenię, ja go bardzo cenię. A pan nie?—To i lepiej dla pana. On to powiedział: łatwo mnie znaleźć, ale trudno udźwignąć. On tam nie jedno mądre słowo wyrzekł ze swojej wieży samotnej. Siedział sobie skromniutko, nieznany, ukryty i pisał książeczki. Potem zwarjował. Umarł taki samotny, jak żył. Samotny, niech pan pomyśli, przez całe życie samotny, bez uczniów, za któremi tęsknił. W całej niemieckiej ojczyźnie żaden profesor nie śmiał zadenuncjować niszczyciela, który rozbił w proch, na miazgę jezuickie kłamstwo o kulturze Europy. A teraz panie, panie - teraz te książeczki latają po Europie, to jest wielkiej stajni Augiasza, jak ją nazwał Napoleon, a raczej ja pozwalam sobie nazwać w imieniu Napoleona Wielkiego—tak! — ja w imieniu Napolena—latają, panie, i czynią wielkie spustoszenie, tak, że się nie ostanie kamień na kamieniu.—Tak, pa_

pozycje do ksiąg żyda lub stał u niego za ladą sklepową. Burżuazja żydowska zajęła silne stanowisko ekonomiczne; tego jej ubogie polskie warstwy szlachecko-mieszczańskie darować nie mogły. Z ukrytym antysemityzmem ekonomicznym poczyna się łączyć jawniejszy antysemityzm towarzyski.

Lecz mieszczanin żydowski mimo to garnie się do społeczeństwa polskiego, ruch asymilacyjny potęguje się, dopóki nie staje mu w drodze „sjonizm". „Sjonizm" w czystej swej formie bankrutuje po kilku latach, lecz pozostawia po sobie spadkobiercę—nacjonalizm. To samo, co pisaliśmy o źródłach nacjonalizmu niemieckiego, da się zastosować i do żydów.

Nagły wzrost żydów w społeczeństwie na skutek rozwoju przemysłu i handlu wywołał w nich poczucie siły, a co za tem idzie i przesadne poczucie godności własnej, która im podyktowała (na skutek nieuświadomienia politycznego) żądanie narodowej niezależności. Ci, którzy marzą o ideale niepodległości własnej, powinni i te marzenia do pewnego stopnia zrozumieć i usprawiedliwić. Boć „tout savoir c'est tout pardonner". Rozwój nacjonalizmu żydowskiego, a właściwie nie rozwój nawet, bo nacjonalistami są przeważnie żydzi napływowi, lecz jaskrawe wywieszanie nacjonalistycznych sztandarów, zaostrza ze strony społeczeństwa polskiego ostrożność, której rezultatem jest i będzie nadal wzmożony prąd asymilacji,—naturalnie, o ile tam rozwojowi asymilacji stawiać nie będą p. Niemojewski et consortes. Jeżeli przed laty 40-stu cieszono się niezmiernie z tego, że 100 lub 200 żydów mówiło prawidłowo po polsku i uważało się za polaków, to dziś uważamy za rzecz zupełnie naturalną i nikogo nie dziwiącą, że po polsku się wyrażają i za polaków się uważają, żydów dziesiątki tysięcy, a szeregi o wiele liczniejsze mówią—choć błędnie—po polsku. Pamiętać należy, że już dzieci żydów, wyrażających się nieprawidłowo nawet w mowie naszej, używać będą z pewnością czystej, niepokalanej polszczyzny. Jest to prawo ewolucji społecznej, którego nic i nikt zmienić nie potrafi; ani nacjonalizm żydowski, ani p. Niemojewski i jego „antysemityzm postępowy" występujący przeciwko asymilacji. Mogą tylko pęd prądu społecznego na chwilę zatamować, i przeciw temu całą siłą protestować należy. Asymilacja idzie od dołu i od góry; u dołu wytwarza ją łączność interesów, u góry—prawo ewolucji historycznej.

Asymilacja ta w zastosowaniu do klas społecznych jest głębszą lub płytszą, zależnie od warstwy. Tak najsilniejszą będzie u inteligencji, gdzie prócz węzłów ekonomicznych między polakami-chrześcijanami i polakami-żydami istnieją węzły naukowe, towarzyskie, i—co najważniejsza—ideowe; słabszą u proletarjatu, gdzie z jednej i drugiej strony najsilniejszym ogniwem łańcucha solidarności jest jeszcze obecnie przeważnie interes materjalny; najsłabszą u mieszczaństwa, gdzie łączność towarzyska jest słaba, a interes ekonomiczny na skutek konkurencji częstokroć wzajemnie sobie wrogi *) To też nic dziwnego, że pisarze obozu i pojęć czysto burżuazyjnych a la p. Niemojewski, widząc przeważnie swą tylko sferę i jej dążenia tylko odczuwając, przyjmują „pars pro toto" i wyciągają niebezpiecznie uogólnienia, proponując jeszcze niebezpieczniejsze środki lecznicze na chorobę urojoną.

Boć na czemże one polegają i jaki skutek mieć mogą. Proponuje p. Niemojewski bojkot żydów przez społeczeństwo, zamykanie przed niemi drzwi, niewpuszczanie ich do towarzystw, i t. d. Zbyt są jakoby niekulturalni. Ależ od kogo w takim razie kultury tej uczyć się mają, jeżeli ci, którzy są rzekomo kulturalniejsi, odwrócą się od nich? I czyż środek ten w zastosowaniu nie wywrze wręcz odmiennego skutku? czy nie zmusi żydów do łączenia się poza zrzeszeniami polskiego w stowarzyszenia czysto żydowskie, mające swe wyłącznie żydowskie cele na widoku? Są przecież na to dość liczni i—przyznajmy otwarcie — dość silni. Więc „antysemityzm postępowy" dąży do tego, by z żydów wytworzyć państwo w państwie? Ależ nacjonaliści żydowscy tego tylko pragną i do tego dążą! **) Oto do czego prowadzi fałszywy krok i nie-

*) O przedstawicielach wielkiego kapitału niema co mówić. Część z nich należy do inteligencji i ta uważa się za polaków i kraj kocha, reszta jest tak samo, jak i arystokracja nasza, kosmopolityczna, kierując się zasadą, że „ibi patria ubi bene".

**) I, idąc w rozumowaniu swem dalej, czyż zapomniał p. Niemojewski, znawca historji rzymskiej, tłumacz Flawjusza, że nie umarła jeszcze zasada polityczna starego Rzymu: „divide et impera"?

---

nie, powiał wicher a my teraz, jak jaskółki, ktore niesie burza—Ergo bibamus. Podsunął kieliszek z koniakiem Sarneckiemu i nalewał innym. Tak, ergo bibamus.

— Dosyć już picia—zaoponowała Szczęśnicka, delikatnie wykradając Reszyńskiemu kieliszek.

— Wybaczcie, przepraszam was, ale na to nie mogę się zgodzić. Nie jesteście moją żoną, ani nie radziłbym wam obejmować tej posady. Nie zrażajcie się moją otwartością familjarną, ale to tylko dzisiaj... Natomiast wy pijcie, bo nie żartuję, będę lał za kołnierz. Ot, jeżeli temu nie dacie, to co innego. On tam chociaż i lunatyk, ale mu jednakże coś w oczach świta. Ale ja—ja nic nie wiem i szczerze mówiąc, nie przysiągłbym na wierność żadnej świętości, nie uwierzyłbym już w żadną prawdę. Przykre, to trudno, ale przykre, mocno przykre. Śmigielski, nie wlepiajcie we mnie tych naiwnych, przerażonych oczu. Jeszcze dzisiaj takie oczy! Jeżeli chcesz się nauczyć, jak dzisiaj człowiek ma patrzeć, to się ucz od tego tam, nood tego doktora. Widzisz, jak to lata oczkami, a nura, a węszy! O! teraz zwąchał, że o nim mowa. Ten zrobi w życiu dobry interes, Ale z tobą wypijemy po europejsku Brüderschaft.

— Nie piję nigdy, nie mogę. Ale przestańcie, proszę was—bronił się Śmigielski.

— Stawaj! Rękę tu, kielich trzymaj — ex! — Teraz daj pyska, siadaj i śpij! Gdy przyjdzie pora, to cię obudzę. Reszyński ulokował Śmigielskiego, a sam, napełniwszy kieliszek, stanął na krześle.

— Silentium! Panie i panowie!--przemówił na cały głos. — Silentium powiadam—powtórzył, dusząc ostatnie słowa i krzyki. Na propozycję jednego z członków szanownego grona, pozwoliłem sobie uzurpować koronę królewską.

— Wstawił się! Precz! Psst!

— Silentium — jeszcze raz powiadam! Przyjąłem ciężką koronę regis bibendi.

— Brawo! Niech żyje rex bibendi! W górę go!

— Silentium opilcy! Ale królem malowanym nie będę.

— Bardzo słusznie!

(d. c. n.).

rozumienie interesu społecznego. P. Niemojewski, puszczający wodę na młyny nacjonalizmu żydowskiego, to widowisko, które powinno nas wielu rzeczy nauczyć, gdybyśmy nie byli narodem, który przeklęcie wszystko zapomina, a nigdy niczego się nie uczy.

Przy gwałtownej fali reakcji, która wiele najżywotniejszych zjawisk ciemną zasłoną okrywa, p. Niemojewski stracił chwilowo orjentację, czynniki i objawy drugorzędne przyjął za pierwszorzędne, i powstałe na skutek tego wątpliwości wyraził publicznie.

Rozpoczęła się wymiana zdań, i obrona chwilowych, narzuconych przez sytuację przekonań coûte que coûte doprowadziła do potworka ideowego do „antysemityzmu postępowego". Rumak temperamentu poniósł p. Niemojewskiego; czuje chyba sam, iż zapędził się w zapale walki zbyt daleko. Atakiem swoim dostarczył lewicy polskiej sposobności do zrewidowania stosunku swego do kwestji żydowskiej, co było tem ciekawsze i bardziej pouczające, że poraz pierwszy — w czasach reakcji zaznaczone zostały różnorakie kierunki lewicy i ich zasadnicze stanowisko wobec żydów.

Natomiast za wielki błąd społeczny należy poczytać p. Niemojewskiemu, że wybrał po temu chwilę nieodpowiednią. Jakikolwiek jest projekt samorządu w Królestwie, wprowadzenie go w życie stanowi dla kraju naszego moment ważny; w chwili takiej burżuazyjna prasa postępowa powinna wszystkie siły natężyć, by nie dopuścić do zupełnego tryumfu Demokracji Narodowej. Jest to możliwem tylko przy bezwzględnem połączeniu się i solidarności żywiołów, reprezentujących myśl postępową w kraju. Wnosząc rozłam do obozu postępowego i odwracając uwagę ogółu od sprawy aktualnej wielkiej wagi, p. Niemojewski nie tylko popełnił błąd społeczny, z którego Dem. Nar. nie omieszka skorzystać, lecz nawet skrzywdził społeczeństwo przez zasłonięcie mu oczu na widmo realnego niebezpieczeństwa za pomocą fata morgany niebezpieczeństwa urojonego. I raz jeszcze dowiódł p. Niemojewski słuszności maksymy: „nec sutor ultra crepidem". Wojciech Kesling.

Paradoksy.

Dobroczynność podróży nietylko tkwi w tem, że kształcą, lecz że obezwładniają. Niejeden szkodnik estetyczny, który poczynał sobie buńczucznie a hałaśliwie, gdy się ujrzał przytłoczonym ciężarem Paryża, usłyszał charakterystyczne chrupnięcie. To jego jąderko mizerne, zgniecione ogromem cywilizacji, pękło i zalało mu mózg wewnętrznem przekonaniem, że należy milczeć.

Człowiek pusty, niemający w sobie żadnego pierwiastku łaknącego rozrostu, z uniesieniem napełnia się po grdykę rozgwarem stolicy świata, przyjeżdża do kraju pełen połyskiwań galskich, roztacza ogon koguta francuskiego, przylepiony syndetikonem kosmopolitycznym do ciała krajowego. Jest szczęśliwy, brzęczy, upaja się, sądząc w prostocie ducha, że niepodobna odróżnić doskonałej czekolady paryskiej od jego krwi ubożuchnej.

Wyobrażam sobie jednak, że człowiek, który ma istotnie coś do powiedzenia, a i do ukrywania również, który nosi w sobie konieczność rozwoju swego talentu, ukrytego jeszcze, na widok i łoskot szalejącej kultury, skąpawszy się w wirze babilońskim, uczuje radość jako na widok bujności i energji, oraz gniew siarczysty, rozsierdzenie groźne, by otwarta szeroko paszcza Paryża, równie tajemnicza i groźna, jak paszcze potworów Notre Dame, nie pożarła jego *ja*.

Uwiózłszy je całe, dojrzalsze, wzbogacone godzinami mirjad doświadczeniowych, artysta oszczędza sobie nie jednego zawodu i błądzenia po omacku.

Przerażające pokłady znużenia, bezsilności, rozterki duchowej sprawiają, że okaz m ę ż c z y z n a jest coraz rzadszy. Stąd płynie rzadkość w sztuce następującego odczuwania:

Człowiek silny, patrząc na śmierć, chorobę, zniszczenie, na zmarszczki na swojej twarzy i groźne nadciąganie starości, na cudowną piękność, która nigdy nie będzie jego, na nieubłagane naigrawanie się rzeczywistości z marzeń najpodnioślejszych, poza innemi uczuciami uczuwa w duszy zadowolenie, dumę żelazną, że wciągnięty jest w zakres zdarzeń twardych, posępnych, nieuchronnych. I słyszy w sobie tę samą muzykę ostateczną.

Kiedy słucha się mężczyzn — uderza niechęć, wzgarda, nieraz nienawiść względem kobiety. Ta niechęć jest tak częsta, że kobiety już ustanowiły order specjalny, który zawieszają łaskawie na piersi każdego zachwycającego się niemi bez zastrzeżeń obrońcy kobiecości. Istnieje pewna kategorja łagodnych don Juanów, którzy chcą zwyciężać kobiety, przyznając im najcudowniejsze zalety, są również ludzie najszczerzej o tej piękności kobiecej przekonani. Kobiety mówią o takich mężczyznach z filuterną łaskawością i, jak się zdaje, darzą ich tylko filuternemi względami, zachowując ognistość swych serc niewinnych dla tych, którzy je potępiają. Bądź co bądź żywiołowy zwrot przeciw kobiecie zaznacza się dobitniej w rozmowach męskich, niż w sztuce. Czasby już wyrównać tę różnicę, bo epoka komplementów minęła.

Niewątpliwie literatura kobieca ma cechę wspólną. Gdy się przeczyta książkę, napisaną przez kobietę z talentem, okruchy myśli, przeżycia, nastroje i inne kombinacje, zamiast utkwić w głębi, tam się rozwijać, zaczynają się poruszać, trzepotać, lśnić, podfruwają w górę, wreszcie zrywają się i, pokrywszy pole duchowego widzenia plamami skrzydeł, ich łopotem i przebłyskami—ulatują, zostawiając serce i umysł męski w poczuciu darów nagle straconych.

Nie ładności nieokreślonej, nie piękności, opśpiewanej przez poetów i słowiki, uwięzionej w zbiorach sztuki przytwierdzonej na wieki ćwiekami do ścian muzealnych, poszukuje artysta. Nie tego, co uznane, czemu z zupełną pewnością przypatruje się tłum. „Ty wiesz, serce moje" — może rzec artysta — jak umiem być obojętnym wobec ognistej, dumnej z powodzenia piękności. Lecz szukam dnia, godziny i zakątka—szukam wśród twarzy kobiecych — wśród kobiet wszystkich narodów, szukam i ścigam twarz nieodkrytą jeszcze przez nikogo, której uroku tajemniczego, (jakby bijące z głębi ciemności światło,—nie zmierzono milimetrem i nie uświęcono dotąd kanonami estetyki. Jeżeli kobieta wzrokiem, układem ust, barwą włosów robi wrażenie czegoś dalekiego i niepodobnego, budzi odczucie związków odległych i niespodziewanych, jeżeli staje w wyobraźni na jej widok np. puszcza odwieczna, z jej zapachem i tajemnicą, ze światłem słonecznem, sączącem się przez zielone gałązki, jeśli pogrąża ona ducha artysty w marzeniu nieuchwytnem, we wzruszeniu pełnem głosów radosnych, jeśli wobec niej biegną do niego z otwartemi ramionami czarodziejskie baśni — to zaiste taką piękność, pomimo jej charakteru, wartości moralnej i inteligencji, to jest

pomimo tego, czem jest ona dla innych—artysta wyniesie ponad wszystko i ubóstwi chwilę, w której ją ujrzał.

Cóż więc dziwnego, że artysta, dążąc do piękna własnego, nieuznanego przez redaktorów, estetów i portrecistów, tu i owdzie stąpi niebacznie, popełni grubą przesadę lub dziwactwo?

Niechęć do kraju, narodu, społeczeństwa przybiera w pewnych chwilach charakter konwulsyjny. Oto utyskiwania pewnego młodego mężczyzny, którego uważam za umysł współczesny. Jakkolwiek są one żartobliwo-feljotonowe, charakteryzuje je pewna dosadność, która była obcą trzeźwemu pokoleniu poprzedniemu:

— Ach, uciekać z tego kraju wrzasku sklepikarzy i tyranji publicystów! Jeśli są tu artyści, to dogorywają. Rozwinąć się w tej krainie niepodobna! I my chcemy dorównać Francji! Tam mają słońce trzy czwarte roku, a u nas — dwa tygodnie. Siedziadziałem dziś w alejach. Wyjrzał z za chmur promień, długi na pół łokcia i zalśnił mi na rękawie. Siedziałem ostrożnie, aby go nie spłoszyć. Dziwny kraj wybrali sobie nasi przodkowie — słowianie: błota, piasek i chmury. Siedzi się u nas w samym środku leju chmur. Takich strzykań i łamań po kościach, jak u nas, niema w żadnym kraju. Na wsi wychodzi się z domu i wpada po gardło w ekskrementy! Gnojówka bowiem musi być zawsze pod oknem! A pod piecem—świerszcz... Można oszaleć! Strzelałem raz do takiej bestji z rewolweru sześć razy. Na zimę do dworu wiejskiego wprowadza się osiemnaście gatunków insektów krajowych, nie licząc myszy polnych, pasikoników i kreta. To kraj półtonów, półideałów, półzachceń, półdziewic. Gdyby one przynajmniej były inne! Ale niepodobna znaleźć ideału, to jest kobiety mądrej, pięknej i jędrnej. Kraj półmężczyzn sentymentalnych! We Francji konserwatysta powie: „Darwin? To łotr... Nie czytam go... Jego nauka nie zgadza się z Biblją" U nas ciągłe lawirowanie! Postępowiec czyta św. Tomasza, konserwatysta—Haeckla, ateista w chwili krytycznej na wszelki wypadek szepcze paciorek do Przemienienia pańskiego. Za granicą łyk-mieszczuch mówi: „Nie chcę poezji, chcę renty". A u nas: Zamaskowani lichwiarze-amatorzy skupują za bezcen obrazki od głodnych malarzy i gorliwemi usty głoszą swoją miłość do sztuki! A kiedy wreszcie wybierzemy się do dziewczyny upadłej, to żałujemy jej bardzo. „Popraw się koniecznie, bo inaczej stracisz zdrowie". Tak szepcze nasza lewica, t. j. serce, a tymczasem niewiedząca o niczem prawica pląsa sobie najbezwstydniej i grzebie w tem ciele sprzedajnem".

Leon Choromański.

Rozdźwięki.

Do porządku dziennego.

W № 46 „Prawdy" znajdujemy odpowiedź na artykuł p. Henryka Lukreca, drukowany w № 43 „Społeczeństwa". Gdyby szło tylko o nieudolność polemiczną autora bezimiennego, — może uznalibyśmy za stosowne wyjaśnić w sposób bardziej przystępny niektóre zagadnienia, poruszone w „Społeczeństwie". Niestety, obok nieudolności polemizowania autor zdradza nieudolność myślenia posuniętą do takiego stopnia, że zdobyć się nie może na określenie zarzutów swoich i na przytoczenie argumentów mniej więcej inteligentnych. Nie mając więc punktu oparcia dla rozprawy rzeczowej, — musimy pomimo chęci pozostawić artykuł bez odpowiedzi.

Zdaje się, że dopóty wszelkie wypowiedzenia „Prawdy" trzeba będzie pomijać milczeniem, dopóki redakcja tego organu Zjednoczenia Postępowego nie wysunie publicystów, bardziej odpowiedzialnych pod względem umysłowym, niż ów autor bezimienny. Red.

Tendencje polskiego „postępu".

Społeczeństwa żywe, nie zasklepione jedynie w niemym i bezkrytycznym zachwycie dla przebrzmiałych tradycji, lecz idące z duchem czasu i przystosowane do zadań politycznych chwili, zazwyczaj silnie są zróżniczkowane. Interesy poszczególnych klas wchodzą w grę, dzielą organizm społeczny na stronnictwa, partje, obozy, te zaś ostatnie dzielą się swoją koleją na jeszcze mniejsze grupy składowe, różniące się częstokroć między sobą w słabych, ledwie dostrzegalnych odcieniach.

Tak jest w społeczeństwach żywych, pulsujących życiem społecznem i politycznem.

Nie w takiem byliśmy położeniu, kiedy przed kilku laty zorza wolności politycznej ukazała się na horyzoncie, powołując społeczeństwo do udziału w sprawach publicznych.

Poza socjalizmem, mieliśmy ugodę i narodową demokrację, lecz ani cienia jakiegoś stronnictwa demokratycznego mieszczańskiego.

Ugoda, partja obszarników, wiodła suchotniczy żywot, skazana — zdawało się — przez wypadki dziejowe na rychłą zagładę; do socjalizmu poszły jednostki gorącego serca i gorącego czynu: tu proletarjat fabryczny i umysłowy dostarczał materjału; na widowni więc politycznej dla całej burżuazji—od skrajnych klerykałów, przez nacjonalistów, aż do liberałów i radykałów — pozostała jedna, jedyna partja: narodowa demokracja.

Ale już z tendencji rozwojowych tej początkowo rewolucyjno-patrjotycznej partji nietrudno było wywnioskować, że wszystkie wyżej wymienione żywioły się w niej *nie zmieszczą*, że istnieją takie głębokie różnice poglądów między dwoma skrzydłami i centrum tej burżuazyjnej zbieraniny, że zróżniczkowanie jeżeli nie zaraz, to wkrótce nastąpić musi.

Ze względów taktycznych socjalistom mogło zależeć na niedopuszczeniu do uformowania się podobnego monstrualnego bloku, jednolitej burżuazyjnej partji.

Należało więc dopomóc w politycznej dyferencjacji, inaczej mówiąc, stworzyć dla niej nową partję.

Tak też i zrobiono. Powstaje Postępowa Demokracja i ściąga do siebie lewe niezorganizowane skrzydło mieszczaństwa a także i dużą część centrum.

Nowa burżuazyjna partja, w ogniu rowolucji powstała, opierając się na tradycjach polskiej demokracji porozbiorowej, zabarwia się radykalnie, choćby z tego względu, że u żłobu władzy jeszcze się nie znajduje.

Niemałą rolę gra tu również uczucie wdzięczności dla robotników, „co konstytucję wywalczyli".

W ten sposób dokonano pierwszej próby klinicznego porodu sztucznego organizmu: ojcem mu były tradycje demokratyczne narodu, matką rewolucja, a rolę akuszera wzięło na siebie jedno ze skrzydeł socjalizmu.

Jeżeli teraz weźmiemy pod uwagę, że nowa partja składała się z czynników par exellence burżuazyjnych i tak zw. inteligencji, że wielką rolę w niej od-

grywali liczni żydzi, ciążący do partji mieszczańskiej a zarazem postępowej, to łatwo zrozumiemy, że choć sztuczny poród się udał, to ten polityczny noworodek sam nie wiedział, dokąd kroki swe ma zwrócić, na której nodze się oprzeć?

Zachowawcze czynniki burżuazyjne w żaden sposób nie chciały, bo zresztą i nie mogły, godzić się z ciążeniem ku lewicy, zaś tradycje demokratyczne narodu, włożone w formy życia 20-go wieku z powodzeniem odgrywały jedynie rolę niemą.

Przeszła rewolucja.

Przeminął i słomiany, fałszywy radykalizm, znikła „wdzięczność" (?) dla lewicy; znika i społeczne zabarwienie grupy, potęgują się natomiast wewnętrzne tarcia.

Liberalna, postępowa burżuazja, gdy minęła chwila niezrozumiałego w jej położeniu rewolucyjnego uniesienia, stanęła zupełnie naturalnie na swem przyrodzonem, klasowem stanowisku.

A chwila to bardzo odpowiednia.

W powietrzu podobno wisi samorząd; gdy przyjdzie, to któż, jeżeli nie te umiarkowano-liberalne żywioły, będzie prowadził targi o wpływy, o krzesła, o synekury, o dostawy?

Nie trzeba się tylko kompromitować, nie trzeba się wysuwać.

Wolno, a spokojnie, umiarkowanie a cicho — oto hasła ugodowego bużuazyjnego liberalizmu, służące za społeczny parawan dla celów osobistych.

Gorzej się czuje tak zw. inteligencja zawodowa. Wtedy, gdy jedna jej część hołduje otwarcie burżuazyjnemu liberalizmowi i zdecydowanie go popiera, wtedy gdy nieliczna jej garść grupuje się dokoła demokratycznych tradycji porozbiorowych, masa pozostaje w centrum, wahając się to w prawo, to w lewo i nie pozwalając na wytknięcie ideowej linji.

Żydzi, jako część składowa tego sui generis stronnictwa, albo należą do prawego skrzydła, pozostawiając nieliczne jednostki na lewicy, albo są zupełnie indyferentni, z ciekawością się jedynie przysłuchując „dyskusji" nad „odżydzaniem postępu." W ten sposób w oczach naszych odbywa się zróżniczkowanie burżuazyjnego postępu na trzy wielkie grupy: progresywno-liberalna prawica, niezdecydowane i wodniste radykalne centrum, wreszcie społeczno-radykalna nieliczna lewica.

Jak widzimy, różnice „ideowe" między tą prawicą i lewicą są zbyt rażące, zbyt zasadnicze, by dziś istniejące resztki tego postępowego zlepka mogły się im długo ostać.

Pierwszy lepszy samorząd, lub wieść o jego pojawieniu się wystarczą, by zaostrzyć apetyt postępowej prawicy i zerwać krępującą i kompromitującą dla niej jedność partyjno-ideową. Lub być może, zechce ona utrzymać „firmę" postępu, a wtedy lewe postępowe żywioły będą zmuszone opuścić targowisko.

Dziś już nawet rozbieżność przekonaniowa jest zbyt uwypuklona, by rozmaite czynniki tego postępowego zlepka, dokonanego w chwili rewolucyjnej nawały pod hasłem przeciwstawienia się narodowej demokracji, mogły się rozumieć, odczuwać, a co za tem idzie—razem pracować.

Zróżniczkowanie się zatem dzisiejszego „Postępu" będzie nie tylko koniecznością dziejową, lecz i zjawiskiem wysoce pożądanem dla samej burżuazji.

Z. Jabłoński.

Dziennik rekonwalescencji.

Z powodu dzieł Stanisława Brzozowskiego „Legenda Młodej Polski" i „Idee".

(Dalszy ciąg).

„Zawsze staje się dla przedstawicieli „Młodej Polski" celem i ideałem to, co w istocie rzeczy było stygmatem, wyciśniętym na romantykach przez nieszczęście: nie ich objektywna praca, lecz kształt ich subjektywnego załamania się pod ciężarem"... „To, co wtedy było bohaterstwem, jest dzisiaj ucieczką myślową, złudzeniem, kłamstwem"...

„Towianizm—pisze p. Brzozowski—stwarzał nad duszami jednostek atmosferę wzmożonej, spotęgowanej odpowiedzialności, był on próbą wyższej miary, niż samo życie; komuna Romina — to sanatorjum i cieplarnia Hamletów, to szczepienie hamletyzmu prometeuszom."

Mówiąc o Żeromskim, autor rozpatruje go, jako „najbogatszą w Polsce organizację czuciowo-wzruszeniową, usiłującą w życiu, jakie wyczuć może, odnaleźć siłę, zdolną uczynić życie polskie wartością, pewną samej siebie." „Świat Żeromskiego—pisze—nie itnieje; istnieje tu dusza ludzka, usiłująca sama siebie zbawić, lub przynajmniej modląca się o zbawienie... czuje się obecność w nim samym męki o bohaterski wartościowy świat" oraz „żądzy szczęścia wobec absolutnej bezsiły..." „*Żeromski poznaniem artystycznem* wyszedł po za świat przeszłości, lecz w nim tkwi uczuciem...

„Świat Żeromskiego jest światem nie ciągłości czynnej, lecz biernej żywiołowości." Jedną z najbardziej zasadniczych cech jego, to pewien kult cierpienia.

„Cierpmy tak długo, aż świat stanie się szlachetnym." Jeżeli „Dzieje Grzechu" są tragicznem samopoznaniem współczesnej duszy kulturalnej, to „Duma o Hetmanie"—objawem woli, która i nadal chce grzeszyć."..

„Raz pora, abyśmy zdali sobie sprawę — pisze z powodu „Dumy o Hetmanie" — że polski bezgraniczny indywidualizm szlachecki jest formą zaniku dziejowego życia, i że apoteozując ten stan rzeczy, apoteozujemy tylko własną niechęć wyrobienia w sobie dziejowej woli."

Co się tyczy Wyspiańskiego, to p. Brzozowski widzi w niektórych stronach jego twórczości zwrot na właściwą drogę i ceni go niezmiernie; ceni go właśnie szczególnie za to, co jest najbardziej dlań charakterystyczne, a pokrewne jego własnej ideologji. „Kto rozumie Wyspiańskiego — czytamy w „Legendzie" — ten wie, że cała jego twórczość jest bolesnem dopracowywaniem się narodowej duszy, że tu niema miejsca na tryumfalne frazesy. Ale u nas entuzjaści z urzędu, zawodowi uprawiacze krzepiącego lenistwo nonsensu uproszczone mają o tem wszystkiem pojęcie: wysłuchaliśmy „Wyzwolenia" i siądziemy na koń, czapkami zarzucimy świat cały. Wtedy trzeba mieć odwagę powiedzieć, że twórca „Wyzwolenia" w dalszych swych dziełach z temi to oto zmagał się zagadnieniami: czy warto, czy godzi się być narodem? Czy ja umiem żyć, czuć, jak członek narodu? Czy ja chcę być narodem?"

Spuściznę Wyspiańskiego streszcza tak: „w imię tego, co jest dla was religją narodową, twórcie energję narodu. Najgłębszą podstawą każdego kultu jest praca, tworzenie mocy. Niech was nie przeraża chropawa postać życia: jest ono jedynym organem prawdy."

* * *

Ideałom Młodej Polski p. Brzozowski przeciwstawia swój ideał.

„Proces dziejowy — pisze — który grzebie dawną Polskę, jest to rodzenie się głębszego szerszego, potężniejszego naszego świata... w tym nowoczesnym świecie jest już i rodząca się rzeczywista już dzisiaj-Polska, i tworzyć, to znaczy żyć jej życiem.” Rodzi się właśnie typ polaka, zdolny żyć na najwyższym poziomie, stworzonym przez europejską kulturę. Powstawanie tego typu, jego walka, dojrzewanie, przekształcanie polskiej kultury w organ jego panowania nad światem i własnego samorządu—oto droga, po której musi iść myśl polska. Musi ona stać się świadomością swobodnych, zdolnych do samoistnej pracy na najwyższym poziomie technicznym robotników.” „... *Od woli waszej, tylko od waszej woli, pisarze polscy, wszystko zawisło.* Nikt nie może przeszkodzić wam w poznaniu, rozumieniu prawdy, uczynieniu z niej jedynego prawa, jedynego celu, całego waszego wewnętrznego istnienia—tworzyć trzeba samowiedzę bohaterskiej rządzącej sobą pracy polskiej.... Oto—jedyna droga.”

Tak! Tylko od woli polskich pisarzy wszystko zawisło! Mamy więc jeszcze jeden wykwit idealizmu, który Marx niegdyś należycie ocenił w „Świętej Rodzinie.” Ludzkość dla p. Brzozowskiego to garść pisarzy, twórców, bohaterów i tłum, z którego oni jak z gipsu mogą wylepić wszystko, co im się żywnie podoba. I jest to konsekwentne, bo przecież, jego zdaniem, heroiczna wola jednostek tworzy nowy świat kulturalny.

„... Chodzi jednak o to—czytamy dalej—aby polska samoistność nie opierała się tylko na uczuciu, na wierze, lecz aby stworzyła sobie swój własny organizm... aby rwący się ku samoistności polski lud pracujący posiadał organy dla swej woli.” To też najbliższe potrzeby, najistotniejsze zadania myśli naszej i kultury dadzą się, zdaniem p. Brzozowskiego streścić tak: *„uczynić ze wszystkich drgnień woli polskiej jeden potężny organizm, ustalić w nim duszę żywą, roztoczyć potężny plan bohaterskiego, twórczego życia przed tamiącą się samotną myślą.”* W tym celu należy stworzyć mit — *mit polski*, zawierający w sobie ideę klasy robotniczej, wychowującej siebie dla samoistnej pracy na stopniu dzisiejszej techniki, wyrabiającą w sobie trwalszy od stali hart moralny, „przekuwającej całe społeczeństwo w organizm samorządnej pracy.”

Przechodząc do środków urzeczywistnienia tego ideału, p. Brzozowski w „Legendzie” i w swych utworach z lat uprzednich, umieszczonych w „Ideach” obok artykułów z 1910 r. wspomina o walce klas, składając w taki sposób ostatni hołd swym dawnym poglądom. Natomiast w artykułach z roku bieżącego rozwija do ostatnich konsekwencji myśl, która się już wyraźnie zarysowała w niektórych rozdziałach „Legendy”, a którąśmy wskazali w jednej z pierwszych cytat w artykule niniejszym, że „zamiast buntować się przeciwko codziennemu życiu, należy tworzyć to życie, pracować, postępować tak, aby *życie dziejowe powstawało, jako stwarzana bezwiednie, swobodnie i samowiednie rzeczywistość, jako produkt uboczny naszego życia codziennego.*”

(d. c. n.) K. Zalewski.

Krytyka i sprawozdania.

„Twórca“.[1]

Uświadomione przez romantyzm pojęcie polskiej ojczyzny, polskiego narodu, przedewszystkiem tem wyróżniało się od analogicznych pojęć u narodów innych, że ojczyzna, naród, nigdy nie była identyfikowana z polskim rządem, a tem mniej z polskim królem. Patrjotyzm mickiewiczowski, ten patrjotyzm podniesiony do potęgi wiary, dogmatu, do znaczenia religji, ten patrjotyzm, który był założeniem czy osnową etyki i filozofji, nigdy nie zniżał się do czci rządu polskiego. Dla Mickiewicza ojczyzna nie wyrażała się w królu polskim; Mickiewicz nie miał czci dla królów polskich. I dzięki temu właśnie wyraz ojczyzna w jego ustach nigdy nie nabiera znaczenia nacjonalistycznego.

Bo ta mickiewiczowska ojczyzna tak mało była państwem, że stawała się niekiedy czemś świętem nawet dla członków innych państw i narodowości. Dziwnie międzynarodowa była ta mickiewiczowska ojczyzna. Rząd polski, który chciała ona sobie postawić, nie miał być jej wcieleniem; ona wiedziała, że swej nieskończoności w żadnym rządzie, a tem mniej w żadnym królu nie wyrazi. I jeśli rząd był jej potrzebny, to tylko tak, jak kapłan bóstwu jest potrzebny — jako sługa, obrońca przed napaściami niewiernych i woli jej wykonawca.

Ojczyzna ta wyrosła sama, własną swoją żywiołową mocą, wyrosła z nieogarnionych obszarów nieświadomości — jak wszystkie bóstwa wyrastały. Była żywiołem w duszach wiernych. Żywioł ujawnił się, uświadomił, objawił w świadomości ludzkiej—i odtąd stał się bóstwem.

Dzięki temu wysubtelnieniu i szczytnemu wyegzaltowaniu mogła mickiewiczowska ojczyzna stać się natchnieniem dla takich nic wspólnego z nacjonalizmem nie mających twórców dzisiejszych, jak Artur Górski, Miciński i Żeromski.

Jakże inna jest Polska p. Jadwigi Marcinowskiej.

Polskę tę naiwnie i brutalnie pojęto jako dzieło, pracę rąk, Chrobrego; a ześrodkowała się ona cała w—żelaznej koronie i szczerbcu.

Polskę p. Marcinowskiej Chrobry zbudował mniej więcej tak, jak obszarnik buduje sobie majątek: pozabierał ziemie sąsiadom, powyłupiał oczy najbliższym krewniakom i wreszcie u kresu życia zasiadł naprzeciwko skarbca, w którym była korona, niby bankier naprzeciwko kasy.

Na szczęście jednak Chrobry p. Marcinowskiej jest nietylko królem i „twórcą” Polski—on jest także dzielnym, czyn swój miłującym, człowiekiem — i jako człowiek nierównie więcej, a nawet dużo jest wart.

Chrobry-człowiek — nadewszystko ukochał dzieło swoje. We wstępie widzimy go, jak opiera się żmijowym napaściom niemieckich chrześcijańskich kapłanów, usiłujących moc jego złamać, prawiąc o pokucie, która jedna tylko pozostała mu wobec śmierci i zbliżającego się dnia sądu w roku tysiącznym. Chrześcijańskim kapłanom w tej destrukcyjnej robocie dopomaga żona Niemka, starająca się osłabić odporność Chrobrego. Po krótkiej, ale ciężkiej wewnętrznej walce z chrześcijańskim jadem Chrobry zwycięża go.

— Miłuję dzieło swe!—oznajmia zebranym.

— Pycha zwycięstwo wzięła—z rozpaczą stwierdzają cesarscy chrześcijanie.

— Człowieku, dzieło twe w sądu godzinie — jak ten wiew przejdzie—ostrzega go jeszcze ksiądz.

A na to mu silny odpowiada człek:

— To wespół przeminę a nie rozwalę dzieła!

— Zginąłeś! zginąłeś!— kraczą nad nim cesarscy chrześcijaństwa misjonarze.

Lecz on niewzruszony zostaje i dalej czyni dzieło swoje. Walczy, zdobywa, buduje, coraz wspanialsze dzieło wznosi, coraz większy sam przy niem urasta. A chrześcijańscy cesarza wysłańcy nie odstępują go ani na krok, nienawiść siejąc w rodzinie i chwili osłabienia wyczekując, aby jadowitem ukłuć żądłem.

Przychodzi wreszcie ta chwila, gdy Chrobry, świeżem zwycięstwem pijany, podatniejszy jest do dosięźenia. Wwiercają mu wówczas zjadliwe, do szpi-

[1]) Jadwiga Marcinowska „Twórca“.—Warszawa 1911.

ku kości przejmujące przypomnienie o czyhającej zawsze śmierci, która jego i dzieła nie ominie.

— Dosiężon!— po czynie stwierdzają misjonarze.

I prawdziwe — dosiężon jest Chrobry: — myśl o śmierci odtąd niepokoi go, goni za nim, rozmachowi jego zagraża.

Aleć Chrobry, chrobrym by nie był, gdyby jej się poddał. On śmierci się przeciwstawi, samą śmierć bohatersko na walkę wyzywa.

Pod murami Kijowa ze śmiercią w postaci wielkoluda potyka się Chrobry—i śmierć pokonywa.

Wówczas staje w zenicie swoim i rzuca pieśń;

— I gdy tak oto wyniesiony stoję na szczycie,
chcę mówić w przestwór i w daleki świat,
dalej niż kres jest narodzonych lat,
abyśta dosłyszeli, wy dwoje:
śmierć i życie!

. . . .

— Śmieję się śmierci w twarz!
Zmoro! za progiem trwasz;
nie wnijdziesz na trupie gody,
bez mego słowa i zgody!

Ty wiesz i ja, którym zwyciężył, wiem!
świadczę ramienia siłą, piersi tchem,
ogniem żył, szczęściem wytryśniętem z duszy:
nie sięgniesz żywota bram,
i dłoń na progu moim się pokruszy,
chybabym—kiedyś przyzwał ciebie—sam!

Mocna to pieśń, południowa pieśń, pieśń słońca z zenitu na swój podnóżny patrzącego świat. Gra też w niej najwyższa prawda i najwyższa wiara wszystkich silnych, wiara w siebie samego, wiara we wszechmoc woli własnej. Każdy silny wie, że śmierć bezwładna jest wobec niego, póki on sam przystąpić jej nie dozwoli; każdy w dziele swem rozmiłowany wie, że póki w twórcy wola do czynu się żarzy, póty śmierć przystępu nie ma.

Ale oto Chrobry powraca z wypraw i zasiada w grodzisku swojem—przed nim korona i szczerbiec, widome symbole dokonanego dzieła. Patrzy na ukończoną pracę i z okropnym smutkiem stwierdza:

— Tęskność ponosi w drogę!
Boć-ono się skończyło,
a ja się skończyć nie mogę.
. . . .
Większy-m jest niż me dzieło.

I boleśnie zmaga się, łamie się w sobie, aż wreszcie dopuści do siebie świadomość, aż przyjmie wiarę w chwilę zachodu.

I tęskność ponosi go coraz mocniejsza, a w tej tęskości budzi się w nim wola ku odejściu. Jakoby senność go ogarnęła, jakoby po skończonym a znojnym odchodził dniu.

Dzieło swe synowi przekazuje i ku spoczynkowi senną kłoni głowę.

On jest spokojny, bo wie, że odejść sam chce, jako pierwej sam własną wolą w zenicie swoim stał, ale otaczające go, bezwolne i bezradne tłumy, te tłumy, co z niego moc swoją czerpały, w rozpacz wpadają na wieść o rychłem Chrobrego odejściu. I zbiegają się ku niemu z naiwnym błaganiem, aby nie opuszczał ich, boć oni wierzą i wiedzą—jako i on wie—że skoro Chrobry odchodzi, to znaczy, że sam tak chce.

Jeno oni w tłumnej naiwności swojej mniemają, że wolę silnego błaganiem zwrócić można, oni nie wiedzą tego, co on wie — że sama konieczność jego wolą jest.

I odchodzi Chrobry, bo sam tak chce. Śmierć przyszła doń dopiero wtedy, gdy skończone było dzieło, gdy sam Chrobry serce jej swoje otworzył.

* *
*

Pomimo pewnej rozwlekłości dramat Marcinowskiej daje wyraz tego, co autorka powiedzieć chciała. Szkoda tylko, że cały ten nietzscheański światopogląd tak brutalnie przesadzony został na glebę dziejową polską:—gdyby „twórca” nie był Chrobrym, jeno poprostu silnym człowiekiem, dramat zyskałby na wyrazistości, stałby się krótszy, mniej upstrzony historycznemi aluzjami, a przez to bardziej zwarty i — silniejszy. Nietzscheanizm zaś zastosowany nie do polskiego indywiduum, lecz do Polski, jako narodu, dał rzecz mocno karykaturalną i czci niegodną — polskie samowładztwo.

Zaznaczyć jeszcze warto, że Marcinowska jest cała przeniknięta tym coraz silniejszym prądem antychrześcijańskim, który gorącym tchnieniem ożywia najmłodszą, ku odrodzeniu idącą literaturę polską. Gdyby jeno autorka „Twórcy” zechciała bliżej spojrzeć w duszę i życie chłopa polskiego, może znalazłaby tam antychrystjanizm równie mocny, jak u Nietzschego, lecz bardziej rodzimy, serdeczniej pogański i nie prowadzący do czci królów.

Jan Hempel.

Bruki, plecy i kieszeń.

Zdawałoby się, że po ustawieniu pręgierza, do którego kradzież, rabunek i grabież grosza publicznego przez „ojców miasta” zostały przygwożdżone, że po tem ujawnieniu setki kanałów, przez które zgnilizna magistracka zaraża atmosferę społeczną, zdawałoby się, że po tem wszystkiem „panowie z magistratu”, których pod klucz nie zamknięto i pozostawiono jako malum necessarium, usuną się co rychlej w cień swych biur i w zacisze życia prywatnego, a już w każdym razie nie odważą się zabierać głosu w stowarzyszeniach i instytucjach społecznych w kwestjach publicznych, np. w sprawie... gospodarki magistrackiej.

Ktokolwiek miał jakiekolwiek całkiem zresztą uzasadnione, pod tym względem złudzenia, rozwiać się one musiały na zebraniu stowarzyszenia techników po referacie p. Jakubowskiego o brukach.

Sam referat obejmował wyłożoną w sposób treściwy i zarazem jasny i dokładny stronę techniczną prawidłowego układania i celowej konserwacji bruków w miastach wogóle, informował, co w tej gałęzi gospodarki miejskiej uczyniono dotąd w Europie.

Sprawa bruków zbyt jednak dotkliwie od szeregu dziesiątków lat daje się uczuwać mieszkańcom Warszawy, stanowiąc z jednej strony złotodajną żyłę dla spekulantów różnego rodzaju, z drugiej testimonium ignominiae dla gospodarzy miasta, żeby zebranie mogło i chciało poprzestać wyłącznie na teorjach i abstrakcjach.

Oczywiście sprawa bruków to jeno pojedyńcze ogniwo w całokształcie gospodarki miejskiej i przeto ściśle wiąże się z jej organizacją biurokratyczną, długa i ożywiona jednak dyskusja nie wzniosła się ponad... bruki, krytycyzm nie sięgnął głębiej.

Z liczby jej uczestników zanotować należy głos kompetentny p. Trechcińcińskiego, który zna całą Europę, ale nigdzie nie widział tego, co się wyprawia na ulicach miasta Warszawy. Wiele też interesujących szczegółów można od niego w tej sprawie usłyszeć. Z powodu np. robionych obecnie „doświadczeń” na ul. Szopena z t. zw. makadamem (mieszanina szabru, asfaltu i smoły) zebrani dowiedzieli się, że sposób ten nigdzie nie jest już pratykowany, co najwyżej spotkać go można jeszcze w *ogrodach* angielskich. A więc rzecz dawno w świecie cywilizowanym zarzuconą, dla wielorakich wad z użycia wycofaną, u nas „zapoczątkowują“ tytułem próby! W przemówieniu swem słusznie też zauważył p. Stawecki, który niejednokrotnie składał dowody niezależnego sądu (np. w sprawie III mostu i wiaduktu), że te „doświadczenia“ robione są na plecach ludności i pokrywane z jej kieszeni.

Ucieszna była pewność siebie z którą „panowie inżynierowie“, przedstawiciele interesów magistrackich przeciw interesom miasta i jego ludności występowali z lekcjami „znajomości rzeczy“, warunków, różnych okoliczności,—z jaką bonne mine ironizowano, że nie plecach odbywają się próby, lecz na ulicach. Spokojną usłyszeli odpowiedź, którą sobie dobrze winni zapamiętać, że istotnie na plecach należałoby tylko „likwidować” te kosztowne, szkodliwe i karygodne eksperymenty, objawy ich nieuctwa technicznego i lekceważenia dobra bezprawnych i skrępowanych mieszkańców miljonowego miasta.

O strejk w „Wulkanie“

Ubiega siódmy tydzień od dnia wybuchu strejku w fabryce „Wulkan“ w Warszawie. 1700 osób, w tej liczbie wiele kobiet i dzieci, pozostaje bez pracy, gdyż zarząd fabryki trwa w oporze i o żadnem porozumieniu ani o ustępstwach nie myśli. Przeciwnie, dyrektor ogłosił nowe przyjęcie robotników, usiłując złamać strejk na takiej drodze.

Prasa burżuazyjna, zwłaszcza konserwatywne „Słowo“ zazwyczaj wiele mówi o „kulturalnych“ sposobach walki pracy z kapitałem, i niedawno jeszcze pouczało zarządy fabryk o „godziwych“ sposobach postępowania względem robotników. Sposoby te opierać się mają na tej zasadzie, że należy czynić ustępstwa przed strejkiem lub nie czynić ich wcale, gdyż realizowanie żądań po walce ekonomicznej przyczynia się do wzrostu uroszczeń w środowisku robotniczem. Ten system nauczania społecznego, jak widzimy, wydaje już swoje owoce. Narodowo-demokratyczni, ugodowi, a nawet postępowi politycy społeczni marzącem okiem patrzą w „cywilizowane łożysko“ zatargów ekonomicznych na Zachodzie. Lecz w wypadku konkretnym na naszym gruncie z ich „prawych“ ust nie padło słowo „humanitarne“ i nie zażądano zwołania sądu rozjemczego. Jak się odbija na robotniku strejk siedmiotygodniowy, o tem dobrze wiemy. Jakie powody zniewalają 1700 osób do prowadzenia tak uciążliwej i długotrwałej walki ekonomicznej w najcięższych warunkach, dowiadujemy się z listu robotnika z Wulkanu, nadesłanego do redakaji Młota. Oprócz żądania podwyższenia płac, obserwanych podczas lokautów i powszechnej redukcji zarobków, robotnicy Wulkanu domagają się zmiany warunków czysto miejscowych, fabrycznych. Zniesiono lony i wprowadzono czysty akord. Autor listu nadmienia, że wskutek wzrostu intensywności pracy bywają częste wypadki omdlenia. Robotnik pokryty jest warstwą soli, wydzielającej się z potu. Dalej, zwiększono wytwórczość mniej więcej o 25°/₀, zmniejszono natomiast liczbę robotników. Powiększono bieg maszyn, wskutek czego wzrosło napięcie pracy. Do obsługiwania maszyn zarząd fabryki postawił chłopców na miejsce robotników dorosłych i wykwalifikowanych. Wskutek tego dwa razy w tygodniu i częściej zdarzają się wypadki obcięcia palców u rąk.

Reporterzy pism burżuazyjnych zwęszyli agitatorów, przypisując im winę strejku. Autor listu stwierdza kategorycznie: „tu jest jeden tylko agitator—niezmordowany brzuchomówca: głód.“ „My strejkować nie chcemy, my musimy strejkować.“ Co na to „Gazeta Warszawska“, narodowe „Życie Robotnicze“, „Pracownik Polski” ojców wielebnych? Wobec zgrozy i tragizmu walki nie śmieją potępić strejkujących; chcą bronić ich sposobem jezuickim, przypisując winę agitatorom. Czy ostre dźwięki tych słów nie oznaczają czasem sygnałów, alarmujących stróżów porządku publicznego.

RKONIKA.

— Kary prasowe: Redakcja „Kurjera Porannego” skazana została na zapłacenie 50 rb. kary za sprawozdania z Częstochowy.

Redakcję tygodnika „Odrodzenie” skazano na zapłacenie 50 rb. kary za artykuł, wydrukowany w № 13 z dn. 18 czerwca r. b.

— Komisja do spraw Stowarzyszeń i związków z „powodu bezczynności” zamknęła w gub. radomskiej stowarzyszenia następujące: Towarzystwo zawodowe kamieniarzy w Radomiu, żydowskie tow. dobroczynności w Rad., związek zawodowy robotników ceramicznych w Rad., towarzystwo Wzajemnej Pomocy w Rad., kółko gospodarzy wiejskich w Mroczkowie, Wierzbnicy, Samwodzie i w Jakóbowicach.

— Zarząd kolei Warsz.-Wied. uwolnił w wydziale służby drogowej około 400 robotników sezonowych z powodu przerwania robót na linji.

— W fabryce warszawskiej „Wulkan” strejk 1700 robotników trwa siódmy tydzień.

— Petersburska Izba sądowa, z udziałem przedstawicieli stanów, skazała bar. Ungern-Sternberga, oskarżonego o szpiegostwo wojskowe na rzecz obcego mocarstwa, na 4 lata robót ciężkich.

— Według gazet niemieckich, rosyjskie ministerjum spraw wewnętrznych rozesłało tajny cyrkularz do zarządów żandarmerji w sprawie politycznej służby policyjnej. Odtąd oficerowie żandarmerji pełnić mają te funkcje w celu uniknięcia zdrady w rodzaju Azefa i Mieńszykowa. Cyrkularz ten ma stać się wkrótce przedmiotem interpelacji w Izbie państwowej ze strony opozycji.

— Do Rady państwa i Izby państwowej nadesłano protesty ze strony 400 parlamentarzystów francuskich w sprawie Finlandji.

— Pogrzeb szefa rosyjskiej policji zagraniczną Raczkowskiego, odbył się bez udziału przedstawicieli administracji. Natomiast wyższe sfery urzędnicze francuskie uczciły pamięć zmarłego: były prezydent republiki, Loubet, nadesłał wieniec srebrny i depeszę kondolecyjną, były minister Dochanel również nadesłał wieniec!

Redaktor i wydawca Dr. J. M. Muszkowski. Drukarnia Artystyczna K. Kopytowski i S-ka Nowy-Świat 47.